



ARTUR OPPMAN

---

**Legandy  
warszawskie**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

ARTUR OPPMAN

## Legendy warszawskie

### Wstęp

Noc srebrna śniegiem, wiatr mroźny dmucha,  
Na skrzypcach zimy gra zawierucha,  
Kłębami śniegu w okna uderza,  
To coś zaszepta, jakby z pacierza,  
To się rozjęczy nutą żalną,  
Jakby tęskniła za cudną wiosną,  
To znów na chwilę płacz swój uciszy  
I gwiazd milionem błysnie w tej ciszy.

Ogień, Zima

Jakże to miło w wieczór zimowy  
W ciepłe zacisznej siedzieć alkowy;  
W piecu się ogień dopala właśnie,  
W ciemnej czeluści mignie, to zgaśnie,  
Sypie iskierki czerwone, złote,  
W sercach nieznaną budzi tęsknotę  
Za czemś minionem, za czemś dalekiem<sup>1</sup>,  
Za dawnym światem, za dawnym wiekiem.

Zimową nocą w alkwie starej  
Umarłych czasów snują się mary,  
W wielkim fotelu, z przed stu lat może,  
Wysłuchał się dziadus w zamieć na dworze;  
Jakby ustami jakiegoś ducha  
Głos mu wichury gada do ucha,  
o tem<sup>2</sup>, co było, co się prześniło,  
Co już — od kiedy! — śpi pod mogiłą...

I nagle dziatwa przypadnie z wrzawą:  
— Powiedz nam, dziadziu, bajkę ciekawą!  
— Jak szedł Twardowski do piekiel bramy?  
— O, nie, dziadziusi! Znamy to, znamy!  
— Więc o Madeju, co zbrodnie knował?  
— Ach, wiemy: Madej odpokutował!  
— To o Kopciuszku w zgrzebnej odzieży?  
— Na pamięć umiem, niech dziadzius wierzy!  
— No, to już nie wiem, co rzec w tej sprawie!  
— Powiedz nam, dziadziu o... o Warszawie!

---

<sup>1</sup>Za *czemś minionem*, za *czemś dalekiem* — dziś poprawnie: Za *czymś minionym*, za *czymś dalekim*.

<sup>2</sup>O *tem* — dziś popr.: o tym.

Pochylił dziaduś głowę zmęczoną,  
Ale mu w oczach iskry zapłoną,  
Strudzone serce mocniej kołata.  
Bo swej młodości przypomniał lata:  
Jak to w ulicach starej Warszawy  
Gonił za widmem rycerskiej sławy,  
Jak każda cegła, każdy gład w murze  
Wskrzesały przeszłość w zlocie, w purpurze.

Na szarej Wiśle, na mętnej fali  
Piosnka syreny ulata wdali,  
W zapadłych w ziemię lochach zwałiska  
Zły bazyli szek ślepiami błyska,  
Męczeńska Praga krwią się zalała,  
W królewskim zamku lka Dama Biała...  
A nad główkami dzieciaków grona  
Cudowny Chrystus wznosi ramiona...

Dali mu malcy myśl do gawędy:  
Starej Warszawy stare legendy...

## Syrena

### I

— A widzieliście ją, tę syrenę niby, kumie Szymonie?

— Widzieć nie widziałem, kumie Mateuszu, bo drzewa przesłaniały źródelko, a bliżej podejść bałem się jakoś—ci, alem słyszał, jak śpiewa.

— Alboż to syreny śpiewają?

— Jakże to? Nie wiecie o tym, kumie Mateuszu? Śpiewają! I jak jeszcze! Głos to ci się tak rozchodził po Bugaju, po Wiśle, hen, aż za rzekę, jakoby właśnie dzwonek srebrzysty dzwonił. Słuchałbyś dniem i nocą.

— No, i co dalej? Co dalej?

— Ano, nic dalej. Słuchałem, słuchałem, lubość mi się jakowaś rozplywała po kościach, aż w końcu śpiewanie ucichło: widać syrena schowała się na nocleg w źródelku, bo już i słońce zachodziło, a ja powlokłem się do chaty, alem całą noc spać nie mógł, inom o tej syrenie rozmyślał.

— Ciekawość! Warto by ją wypatrzyć, zobaczyć.

— Ale jak? Toć, jeśli nas ujrzy, — umknie i skryje się w wodzie. A zresztą, może to i grzech przyglądać się takowej stworze niechrzczonej i kuszącego jej śpiewania słuchać.

— Grzech nie grzech, — niewiada<sup>3</sup>! Najlepiej zapytać o to ojca Barnaby, pustelnika. To człek mądry i pobożny; on powie i nauczy, co czynić nam należy.

— Rzetelnie mówicie, kumie Mateuszu, chodźmy do pustelnika Barnaby.

— Ano, to i chodźmy! Ryby przez ten czas z Wisły nie uciekną, a my się od duchownej osoby przeróżności dowiemy.

Tak rozmawiali z sobą dwaj rybacy znad Wisły w owych zamierzchłych czasach, gdy na miejscu dzisiejszej Warszawy, a właściwie jej Powiśla, leżała niewielka rybacka osada, otoczona gęstymi lasami, w których roilo się od grubego zwierza: łosi, turów, wilków i niedźwiedzi.

### II

— Więc powiadacie, że śpiewała?

<sup>3</sup>niewiada (gwar.) — nie wiadomo.

Śpiew

Samotnik

— A juści! śpiewała; gadałem przecie.  
— Hm! I często se tak podśpiewuje?  
— A co dnia! Jak tylko słońeczko Boże ma się ku zachodowi i czerwienią a złotem pomaluje Wiselkę, wraz ci się na Bugaju jej piosenka rozlega.  
— I długo też nuci?  
— Do zachodu. Jak się ino<sup>4</sup> ciemno zrobi na świecie, już jej nie słyhać.  
— To nocami nigdy ze źródła nie wychodzi?  
— Czy wychodzi, czy nie wychodzi, tego ja nie wiem, ale przepomniałem<sup>5</sup> powiedzieć, że w pełni miesiąca<sup>6</sup> też śpiewa. Nieraz mnie ze snu budzi blask księżycowy, co do chałupy zagłąda: siadam se na posłaniu, aż ci tu odgłos jakowys dolata z daleka; jakby skowronek, jakby dzwonek, jakby skrzypczki lipowe: to ona.

— O to mi chodziło właśnie. Więc trzeba tak zrobić...

Tu ojciec Barnaba zadumał się na długą chwilę, a obaj rybacy czekali w skupieniu, aż namyśli się, co poradzić.

Ojciec Barnaba był to starzec wysoki, chudy, siwobrody, łysy jak kolano, odziany w długą samodziałową oponczę. Na pomarszczonym jego obliczu rysowały się powaga i dobroć.

Wszyscy trzej siedzieli przed budką pustelnika, na ławie, uczynionej z dwóch pieńków, na których położono z gruba obciosaną deskę. Było to lipcowe popołudnie i cudnie było w boru<sup>7</sup>, pachnącym żywicą i kwiatami. Ptaki śpiewały radośnie, pszczoły wesoło brzęczały, a zielony dzięcioł w czerwonym kapturku stukał dziobkiem, jak młotkiem, w korę rozłożystego dębu i wydłubywał robaki.

A ojciec Barnaba namyślał się, namyślał, aż rzecze:

— Więc trzeba tak zrobić: w pełni miesiąca wybierzemy się we trzech do źródła; na odzienia nasze naczepić należy gałęzi świeżo zerwanych, najlepiej lipowych, kwiatem okrytych, żeby syrena człowieka nie poczuła, bo się nie pokaże; zaczaimy się przy samym źródle, a gdy wynijdzie i śpiewać zacznie, wtedy zarzucimy na nią sznur, spleciony z cienkich witek wierzbowych, święconą wodą skropiony, ile, że<sup>8</sup> takiego żaden się czar nie ima<sup>9</sup>; zwiążemy i miłościwemu księciu na Czersku zawieziemy w darze. Niech ją na zamku trzyma i niech mu wyśpiewuje.

Ale uszy woskiem musimy sobie zatkać, żeby jej narzekań i lamentów nie słyszeć, bo inaczej serce w nas tak zemdleje, że nie będziemy mieli mocy wziąć jej w niewolę. Srodze jest żałościve syrenie śpiewanie.

— Tak jest, jak mówicie, ojcze Barnabo; wiem ci ja o tem, bom te piosenki słyżał. Żaden miód, by najprzedniejszy<sup>10</sup>, tak człowieka nie upoi, jako on głoś syreni. Więc tedy do pełni miesięcznej?

— Tak jest, do pełni.

I rozeszli się w swoje strony. Rybacy nad Wisłą do zarzuconych sieci, a ojciec Barnaba na modlitwę.

### III

Tam, gdzie dziś nad samym prawie wybrzeżem Wisły, poniżej starożytnych kamienic Starego Miasta, rozciąga się ulica, Bugaj zwana, przed wielu, wielu laty szumiał las zielony, odwieczny.

W lesie tym, z pagórka, wznoszącego się nad rzeką, tryskało źródło i rozlewało się w głęboki, bystro płynący potok.

Nad potokiem rosły białokore brzozy, wierzby pokrzywione maczały w nim długie gałęzie, kwitnęły polne róże, i niezapominajki haftowały niebieskimi kwiatkami zielony traw kobierzec<sup>11</sup>.

<sup>4</sup>ino — tylko.

<sup>5</sup>przepomniałem — zapomniałem.

<sup>6</sup>miesiąc — księżyc.

<sup>7</sup>w boru — w borze, w lesie.

<sup>8</sup>ile, że — jako że, ponieważ.

<sup>9</sup>czar się nie ima — czar go nie dotyka.

<sup>10</sup>by najprzedniejszy — choćby najlepszy.

<sup>11</sup>kobierzec — dywan.

Lato, Rośliny, Zwierzęta

Podstęp

W tym to potoku mieszkała właśnie syrena.

Była piękna, pogodna noc miesięczna. Srebrzysta pełnia żeglowała przez błękitne, usiane gwiazdami niebo i przyglądała się ziemi uspionej, lasowi i źródłu.

Ale w lesie nie wszyscy spali.

Zza brzoź i wierzb, stojących nad potokiem, widać było trzy skulone postacie. Przycupnęły one, wśród krzaków gęstych, i ciekawymi oczyma spozierały<sup>12</sup> w wodę potoku, mieniając się srebrzyście od blasków tarczy miesięcznej. Byli to dwaj rybacy, Szymon i Mateusz, i pustelnik, ojciec Barnaba.

Nagle z wody wynurzyła się przecudna postać. Była to dziewica<sup>13</sup> nadziemskiej urody; w świetle miesięcznym widać ją było doskonale. Miała długie kruczoczarne włosy, pierścieniami spływające na białą, jak z marmuru wyrzeźbioną szyję; szafirowe jej oczy, wzniesione ku pełni, patrzyły dziwnie przejmująco i smutno, a ozdobiona lekkim rumieńcem twarzyczka takim tchnęła czarodziejskim urokiem, że przyglądającym się jej rybakom aż serca zamarły ze wzruszenia.

Syrena chwilę trwała w milczeniu, zapatrzona w niebo i w gwiazdy — i oto w ciszy tej czarownej nocy zadźwięczał śpiew tak piękny, tak kryształowo czysty, że zdawało się, iż i księżyc, i gwiazd miliony, i ziemia, i niebo zasluchały się w niego do niepamięci.

Wtem z krzaków, cicho, bez szelestu, wyskoczyły owe trzy postacie — i nie tak szybko rzuca się ryś drapieżny na przebiegającą łanię, jak oni rzucili się na syrenę, skrępowali ją powróślem<sup>14</sup>, z witek wierzbowych splecionym, i wyciągnęli z wody na murawę.

Próżno się szamotała nieszczęsna, próżno ich ludzkim a cudnym zaklinała głosem. Głos ten wzruszyć ich nie mógł, gdyż, wedle rady ojca Barnaby, uszy mieli woskiem szczelnie zatkanie.

— Co teraz począć? Co z nią począć? — jęli się pytać obaj rybacy zdyszczanym, gorączkowym głosem.

— Co począć? — rzeknie pustelnik — poczekajcie, zaraz wam powiem:

Nim ją do Jego Miłości księcia na Czersku zawieziem, a wieść przecież nie będziem po nocy, zamknijemy syrenę w oborze, a pilnować jej będzie Staszek, pastuch gromadzkiego bydła. Skoro świt zaś, wóz drabiasty sianem wymościm i jazda do Czerska! Dobrze mówię?

— Dobrze mówicie, ojcie Barnabo, mądrze mówicie!

Miesiąc świecił tuż nad polanką, gdzie rybacy złożyli skrępowaną syrenę, i widać ją było wybornie. Do pasa była to, jak się już rzekło, panna nad podziw urodziwa, od pasa zaś ryba srebrzystą łuską błyszcząca. Leżała biedna bez ruchu, z zawartymi<sup>15</sup> cudnymi oczyma, ręce wzdłuż ciała opuściwszy, i tylko rybi ogon, długi a giętki, uderzał kiedy niekiedy w ziemię, zupełnie jak u wyjętego z wody karpia lub szczupaka.

— Czas nam w drogę — przemówił pustelnik — bierzcie ją!

Szymon i Mateusz dźwignęli syrenę i ponieśli ją w stronę wioski.

## IV

— Otwieraj, Staszku!

— Otwieraj no co prędzej! Cóż to? Zarznęli cię zbóje, że się nie ruszasz?

— Nie gramol się, gamoni! skorzej<sup>16</sup> skorzej!

I rozległy się głośnie uderzenia krzepkich<sup>17</sup> pięści Szymona i Mateusza we wrota<sup>18</sup> obory, oni to bowiem, wraz z pustelnikiem Barnabą, dobijali się uporczywie do wielkiego, drewnianego budynku, w którego ścianach, przez wyrzeżane<sup>19</sup> otwory, widać było rogacie łby i mokre pyski licznych krów.

— A co tam? Kto tam? Toć idę już, idę! A któż to tam tak łomoce po nocy? Pali się, czy co takiego?

<sup>12</sup>spozierały — patrzyły, spoglądały.

<sup>13</sup>dziewica — panna.

<sup>14</sup>powróśło — sznur.

<sup>15</sup>zawartymi — zamkniętymi.

<sup>16</sup>skorzej — szybciej; od: *skoro* — szybko.

<sup>17</sup>krzepkich — silnych.

<sup>18</sup>wrota — wielkie drzwi.

<sup>19</sup>wyrzeżane — wycięte, wyrżnięte.

Zaszurgął ktoś bosymi nogami, odezwało się szerokie ziewnięcie, w ciemnościach niepewna ręka szukała zawory, znalazła ją, otwarła, skrzyknęły wrota — i z mroku wynurzyła się gibka, młodzieńcza postać pastucha Staszka.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! A czego to chceta, ojczy Barnabo i wy Szymonie i Mateuszu?

— Cichaj! Syrena! O, widzisz? Syrena! Złapaliśmy ją! Niechaj tu przeleży do rana! O świcie do Czerska ją zawieziem, do księcia!

— Syrena? Jezusie, Maryjo! Prawda! Jakaż ona śliczna!

— Nie prawilbyś byle czego! Śliczna! Czarownica, wiadomo! Taka ci najcudniejszą postać przybierze, aby tym łacniej<sup>20</sup> otumanic chrześcijańską duszę.

— Boże miły! Prawdę mówicie? To ona chrześcijańskie dusze tumani? I cóż ja mam z nią zrobić?

— Pilnować do zorzy<sup>21</sup>! Ale pilnuj bez ustanku. Nie zdrzemnij się. Uważaj, żeby postronków<sup>22</sup> nie zerwała, bo ucieknie.

— Ha! Każecie pilnować, to będę pilnował. A kiedyż po nią przyjdziecie?

— Mówilim<sup>23</sup>. Skoro świt. Teraz ją położym w oborze, niech leży.

— A ty, Staszku, pamiętaj: oka z niej nie spuszcza! Patrz i patrz! Na twoją głowę ją zdajem.

— Już wy się nie bójtą! Umiałem sobie dać rady z graniastym byczkiem, choć beskurcyja<sup>24</sup> zły, jak sam diabeł, to i z syreną poradzę.

— No, to bywaj zdrowy! Będziem tu z powrotem, ino patrzeć!

## V

Staszek został sam na sam z syreną. Leżała ona pod ścianą obory, na wprost jednego z otworów okiennych, w przeciwległej ścianie wyciętych, a Staszek siadł naprzeciwko i tak, jak mu rozkazali, patrzył w nią baczenie, i oczu z dziwowiska nie spuszczał.

Miesiąc świecił w ten otwór ścienny mocnym blaskiem i osrebrzał cudną twarzyczkę syreny, w której to twarzyczce jaśniały, jak gwiazdy, modre<sup>25</sup>, wilgotne od łez, przesmutne oczy.

I nie cniło się<sup>26</sup> Staszku spozierać tak nieustannie na syrenę, bo nigdy, nigdy, jako żywo, nie widział podobnie urodziwego lica i źrenic równie głębokich, przepastnych i czaru zaziemskiego pełnych.

I nagle — syrena spojrziała na Staszka swymi czarodziejskimi oczami, uniosła przepiękną, opierścienioną zwojami czarnych włosów główkę, otworzyła korалowe usteczka i zaśpiewała.

Zaśpiewała jakąś piosenkę bez słów, piosenkę tak cudną, że drzewa za oborą przestały szumieć, a krowy lby ciężkie od żłobów zwróciły w jej stronę, żuć przestały i zasłuchały się w oszołamiącą pieśń syreny.

Staszek był na wpół przytomny. Jak żyje nie słyszał nic podobnego. Śpiew syreny grał na jego sercu tak, jak gra wiosna na sercu każdego człowieka. Uczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego, że jest jakiś lepszy, jakiś mądrzejszy, że otwierają się przed nim światy, o których nigdy dotychczas nie pomyślał, światy pełne aniołów i cudów.

A syrena nagle spojrziała wprost w oczy Staszka i rzekła:

— Rozwiąż mnie!

Nie zawahał się ani na chwilę. Podeszedł ku syrenie i kozikiem<sup>27</sup> rozciął krępujące ją postronki.

A dziwowisko ślicznymi rączkami objęło go za szyję i szepnęło:

— Otwórz wrota i chodź za mną.

<sup>20</sup>łacniej — łatwiej.

<sup>21</sup>zorza — jutrzienka, świt; pierwszy sygnał wschodzącego słońca.

<sup>22</sup>postronki — sznurki.

<sup>23</sup>Mówilim (gwar.) — mówiliśmy.

<sup>24</sup>beskurcyja — bestia.

<sup>25</sup>modre — niebieskie.

<sup>26</sup>nie cniło się — nie nudziło się.

<sup>27</sup>kozik — scyzoryk, nożyk.

Czarownica

Śpiew

Usłuchał. Otworzył wrota na ścieżaj<sup>28</sup> i czekał, co się stanie.

Nie czekał długo. Syrena uniosła się ze słomy, na której leżała, i skacząc na swoim rybim ogonie, przeszła przez wrota i skierowała się w stronę Wisły.

Szła i śpiewała. Krowy wyciągnęły za nią łby i poczęły ryczeć żałośnie, drzewa szumiały do wtóru piosence syreniej, a szumiały tak smutnie, aż niebo drobnymi łzami sypać jęło i zachmurzyło się ponuro. A Staszek, jak urzeczony, szedł za nią, szedł za nią, bez woli, bez myśli.

Ustał deszcz, wyblysnęło słońce; z chałup wychodzili ludzie i ze zdumieniem patrzyli na widok tak nadzwyczajny. A syrena szła i śpiewała.

A gdy już była tuż, tuż nad brzegiem Wisły, odwróciła się, spojrziała ku wiosce i zawołała na głos cały:

— Kochałam cię, ty brzegu wiślany, kochałam was, ludzie prości i serca dobrego, byłam waszą pieśnią, waszym czarem życia!

Czemuż wzięliście mnie w niewolę, czemuż chcieliście, abym w pętach, w więzieniu, na rozkaz książeży śpiewała?

Śpiewałam wam, ludzie prości, ludzie serca cichego i dobrego, ale na rozkaz śpiewać nie chcę i nie będę.

Wolę skryć się na wieki w fale wiślane, wolę zniknąć sprzed waszych oczu i tylko szumem rzeki do was przemawiać.

A gdy przyjdą czasy ciężkie i twarde, czasy, o których nie śni się, ani wam, ani dzieciom i wnukom dzieci waszych śnić się jeszcze nie będzie, wtedy, w lata krzywdy i klęski, szum fal wiślanych śpiewać będzie potomkom waszym o nadziei, o sile, o zwycięstwie.

A tu tymczasem, pędem od wioski lecą ku brzegowi obaj rybacy i pustelnik stary i krzyczą:

— Łapaj, trzymaj, nie puszczaj!

Ale! Nie puszczaj!

Już ci syrena, chlup, do wody, a za nią w te pędy Staszek.

Skoczył, wychynął z rzeki, rozejrzał się dokoła, zawołał:

— Bóg z wami!

I zniknął.

Śpiew

Lud

---

Minęły lata i wieki. Na miejscu wioski — miasto powstało, ludne<sup>29</sup>, bogate, warowne.

A miasto owo, później stolica, na pamiątkę dziwnej przygody z syreną, wzięło ją za godło swoje, i godło to po dzień dzisiejszy widnieje na ratuszu Warszawy.

## *Kościół Panny Marii*

I

Przed latami, przed dawnymi,  
Pewien młynarz żył w tej ziemi,  
A gdzie mieszkał? Prosta sprawa:  
Tam gdzie stoi dziś Warszawa.

Domek miał nad Wisłą szarą,  
Cieszył się koników parą,  
Czwórką wołów pracowitych,

---

<sup>28</sup>na ścieżaj — na oścież.

<sup>29</sup>ludne — mające wielu mieszkańców, zamieszkałe przez wielu ludzi.

Kur i kaczek rozmaitych  
Wielkiem mnóstwem... A miał przytem  
Młyn zapchany zawsze żytem  
I pszenicą... Z tego zboża,  
Ani długo, ani krótko,  
Młynarz mąkę meł bielutką  
I sprzedawał aż za morza.

Dobrze płacił cudzoziemiec,  
Anglik, Francuz, Szwed, czy Niemiec,  
Za tę mąkę życiodajną,  
Taką smaczną, choć zwyczajną.

Polskie zboże zną parobcy,  
Polski młynarz mąkę miele,  
A z tej mąki mają obcy  
Pszenny kołacz na niedzielę.

Więc nasz młynarz, z łaski nieba,  
Że się trudził najgoręcej,  
Miał dla siebie dosyć chleba,  
Miał dla biednych jeszcze więcej;  
A ponadto w kutej skrzyni  
Co dzień się przybytek czyni.

Srebrny talar przy talarze  
Leżą sobie w zgodnej parze,  
Złoty dukat przy dukacie  
Podzwaniają w cichej chacie.

Aż talarów i dukatów  
Tyle razem się zebrało,  
Ile wiosną w łąkach kwiatów —  
I to jeszcze pewnie mało!

Od Warszawy ku Gdańskowi  
Można niemi szlak wymościć...

Więc bogactwa młynarzowi  
Mógłby książę pozazdrościć!

Dziecko, Rodzina

## II

Szumi stary młyn nad rzeką  
I trajkoce i terkoce.  
Młynarz patrzy, hen, daleko  
I w źrenicach łza migoce.

Taka piękna, taka młoda,  
Siedzi w izbie młynarzowa,  
Czemuż ćmi się jej uroda?  
Czemuż smutna, gdyby wdowa?

Skąd ten smutek i tęsknota?  
Skąd te w oczach srebrne łezki,  
Gdy w alkierzu tyle złota,  
Gdy tak jasny strop niebieski?



Są na niebie dla nich chmurki:  
Ni im syna, ni im córki!

I cóż przyjdzie z bogactw w domu  
Choćbyś pereł wór zarobił,  
Gdy zostawić niema komu,  
Czego człek się pracą dobił.

Nic dziwnego, że się łzami  
Zalewają młynarzowie,  
Boć są sami, zawsze sami,  
Czy w robocie, czy w alkwie!

Czy dzień zwykły, czy to święto,  
Czy mrok idzie, czy blask świta,  
Nikt ich buzią uśmiechniętą  
Przez okienko nie powita.

Rozchylając ustek wiśnie,  
Nie zagwarzy, jak to dzieci,  
I tatusia nie uściśnie,  
I do mamy nie przyleci.

Głucha cisza w długie noce  
I w dzień cisza na dom spada,  
Tylko stary młyn turkoce  
I z wiślaną falą gada.

Gdybyż w domku życia kwiecie:  
Jedno dziecię! Jedno dziecię!

### III

Po robocie całodzienniej,  
Hołd złożywszy świętym Pańskim,  
Spać się kładzie młynarz senny  
W swoim domku nadwiślańskim.

A nim do snu się ułoży,  
Przed obrazem kornie klęka,  
Gdzie z Dzieciątkiem w glorii Bożej  
Przenajświętsza łśni Panienska.

I tak błaga i tak prosi  
O dziecięc dla swej chaty,  
Ku niebiosom głos podnosi,  
I duch w niebo mknie skrzydlaty.

Zda się, płynie w pozaświecie  
Swe zwierzając Bogu żale:  
Daj mi, Panie, małe dziecię,  
Bym je chował ku Twej chwale!

Noc gwieździsta dookoła  
Szatą mroku świat osnuwa,  
A pod domkiem straż anioła  
Nad snem dobrych ludzi czuwa.

Śpi nasz młynarz utrudzony  
 A wtem: Boże! Jakież cuda!  
 Czy to niebios sen wyśniony?  
 Czy to tylko zmysłów złuda?

W płaszczu modrym, jak niebiosą,  
 Cała w blaskach, gdyby zorza,  
 Jasnooka, złotowłosa  
 Przed nim staje Matka Boża!

A gdy pada na kolana,  
 Wskroś radością wielką zdjęty,  
 Głos Jej słyszy: „Wielbij Pana,  
 Bo twój pacierz w niebo wzięty.

Wzięty w niebo, usłyszany,  
 Człecz dobry, pracowity,  
 Więc gdy wstanie świt różany  
 I wybłyśnie na błękity,

Idź po samym Wisły brzegu  
 Od swojego domku proga,  
 A gdzie ujrzysz wzgórek w śniegu,  
 Zbuduj kościół na cześć Boga.

Bo ci mówię w tej godzinie  
 I nasz Stwórcą tak uczyni,  
 Że nim jeden rok upłynie,  
 Ochrcisz synka w tej świątyni.

W prawdzie, w szczęściu, w łasce Bożej,  
 Mając w sercu cnót promienie,  
 Twoje plemię się rozmnoży  
 Po dziesiąte pokolenie.”

Cudna postać się rozpływa,  
 Jak marzenie, jak mgła lekka,  
 Młynarz ze snu się porywa, —  
 A już niebo świt obleka.

#### IV

Idzie młynarz Wisły brzegiem,  
 W śpiewem ptaków ranek gwarny;  
 Gdzież tu wzgórek kryty śniegiem,  
 Gdy na świecie lipiec skwarny?

Fale zboża wietrzyk wzdyma,  
 Słonko parzy, świecąc cudnie,  
 Toć daleka jeszcze zima!  
 Toć na śniegi mroźne grudnie!

Ale w wierze niepożytej  
 Nie zawaha się na chwilę,  
 Bo, co spojrzysz na błękity,  
 Coś mu w sercu szepce mile:

Niech cię trudność nie przeraża,  
Kto nie sieje — ten nie zbiera,  
Szczera wiara cuda stwarza,  
Góry nosi wiara szczerą!

Już przybliży się południe,  
Nagle: istne dziwowiska!  
Patrz, młynarzu, jakże cudnie  
Bliski wzgórek srebrem błyska.

Na szczyt wzgórza młynarz bieży  
I przyklęka oniemiały,  
A tam śniegu obrus leży,  
Obrus śniegu, zimny, biały.

Cud się spełnił z woli nieba,  
Więc ku czci Jej nieustannej,  
Teraz prędko, prędko trzeba  
Stawiać kościół Marii Panny!

## V

Jakże pilnie się zwijają  
Młynarzowi robotnicy!  
Mija miesiąc — mury stają,  
Biegnie w niebo krzyż świątynicy.

Mija drugi w pracy Bożej, —  
Już i wieża w górę pnie się;  
Każdy tydzień coś dołoży,  
Każdy tydzień coś przyniesie.

Młynarz złota nie żałuje,  
Hojnie sypie dukatami,  
Sam pomaga, sam pilnuje,  
Sam się trzyma z murarzami!

Aż przyjemnie patrzeć na to,  
Aż człękowi serce rośnie!  
Przeminęło śliczne lato,  
Jesień wiatrem łka żałośnie.

Lecz robota wre na brzegu,  
Choć i deszcze z nieba cieką,  
Tam, gdzie widniał obrus śniegu,  
Na pagórku ponad rzeką.

Mknie na Wisłę pieśń radosna,  
Brzmi w tej pieśni Boża chwała,  
A gdy przyszła nowa wiosna  
I kwiatami świat ubrała,

W pewien złoty blask poranny,  
W dzień Jej chwale poświęcony,  
Stanął kościół Marii Panny  
I zagrały z wieży dzwony.

## VI

Od kościoła w dzień niedzieli  
Idzie orszak rozśpiewany,  
To nasz młynarz się weseli,  
Radby prawie skoczyć w tany.

Uśmiechnięta młynarzowa  
Dzieciąteczko śliczne tuli, —  
Niechże zdrowo im się chowa,  
Niech ich kocha jak najczulej!

Wielkiem szczęściem błyszczą oczy,  
Duch wzwyż leci, szczęściem zdjęty...  
Tak się spełnił sen proroczy,  
W dawnych czasach wiary świętej...

# Bazyliśzek

## W KUŹNI PŁATNERZA<sup>30</sup>

W kuźni płatnerskiej imćpana Melchiora Ostrogi robota wrzała aż miło. Czeladzie pracowali nad wykończeniem przepysznej zbroi rycerskiej dla Jego Miłości pana kasztelana płockiego, a dwóch chłopaków dęło w wielkie miechy, podsycając ognisko w ogromnym kominie. W płomieniach purpurowych i złotych tego ognia sam we własnej osobie imćpan Melchior Ostroga, świetny mistrz sławetnego płatnerskiego cechu, trzymał w cęgach potężnych sztabę żelazną, aby ją za chwilę na miecz na kowadle przekować.

Miecz ten, wraz z pancerzem, z hełmem, z naramiennikami i nagolennikami stanowił właśnie całkowity rynsztunek bojowy, po który pan kasztelan miał dziś — jutro przyjechać.

A cudnaż to była zbroica! Z najprzedniejszej stali, wypolerowanej, jak zwierciadło, pokryta nabijaniami ze szczerzego srebra, z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, prześlicznie w złocie wymaglinowanym, i z krzyżem husarskim na kołnierzu.

Miało to być prawdziwe arcydzieło przesławnej sztuki płatnerskiej, i niepomąlu chlubił się nim już z góry mistrz Melchior.

W kąciuku kuźni, za wielką kupą żelastwa, bawiło się dwoje dzieci: czarnowłosy chłopczyk i złocistoloka dziewczynka. Było to rodzeństwo, dziatwa imćpana Ostrogi. Chłopczyk, jako to chłopczyk, rycerską znalazł sobie igraszkę: z kawałka cienkiego żelaza szablę krzywą, niby to turecką, uczynił i w fechtę jął się wprawiać, jak żołnierz. Ale dziewczynka, zapatrzona z początku w szermierkę braciszka, znużyła się niezadługo, boć co tam panienkę wojowanie obchodzi.

— Maćku! — zawołała na brata. — Chodźmy już stąd na Rynek; w Rynku tak wesoło i gwarno, słoneczko świeci; pobiegamy, przyjrzymy się kramom<sup>31</sup> i towarom.

— Czekaj—no, Halszko, jeszcze ano kilka cięć krzyżową sztuką przypomnę i pójdę z tobą, kiedy chcesz koniecznie; choć mnie i w kuźni dobrze: tyle tu ciekawych rzeczy: kopii<sup>32</sup>, kolczug<sup>33</sup>, bułatów<sup>34</sup>.

Machnął raz i drugi szabelką, cisnął ją na ziemię i zabierali się ku wyjściu.

<sup>30</sup>*płatnerz* — rzemieślnik wyrabiający zbroje, hełmy itp.

<sup>31</sup>*kram* — stragan, stolik, z którego sprzedaje się towary.

<sup>32</sup>*kopia* — był to rodzaj potężnej włóczni używanej przez konnych rycerzy.

<sup>33</sup>*kolczuga* — był to rodzaj lekkiej zbroi, wykonanej z połączonych ze sobą w rodzaj sieci metalowych kółek. Niekiedy na kolczugę zakładano dopiero zbroję właściwą, wykonaną z odpowiednio uformowanych płatów metalu.

<sup>34</sup>*bułat* — była to w dawnej Polsce nazwa szabli tureckiej albo perskiej, wykonanej z bardzo twardej i sprężystej stali.

Praca

Dziecko

Spostrzegł wychodzące dzieci mistrz Ostroga i przywołał je do siebie.

— A gdzie to, malcy?

— Na Rynek, tatuńciu.

— A po co?

— Popatrzeć, pobiegać, światu Bożemu się przyjrzeć.

— Zgoda. Ale uważajcie na siebie i na obiad się nie spóźnijcie do matki. I jeszcze jedno: niech was ręka Boska broni chodzić na Krzywe Koło do zburzonego domostwa. Niedobre sprawy się tam dzieją. Coś straszy, coś jęczy. Jeszcze by was, strzeż Panienko Najświętsza, złe porwało!

— Ja się niczego nie boję, tatuńciu! — zuchowato zawołał Maciek.

— A ja się wszystkiego boję, tatuńciu! — zapiszczała cieniutko Halszka. — I nie pójdziemy!

— No, to bądźcie mi zdrowe, dzieciaki!

## NA STARYM RYNKU

Na Rynku wrzask i harmider. Tłum w barwnych ubiorach krąży dokoła Ratusza, który dumnie wznosi się pośrodku placu. W Ratuszu na dole kramnice bogate, dostanie w nich, czego dusza zapagnie. Tu sklepy ormiańskie z tkaninami tureckimi, haftowanymi złotem i srebrem, z dywanami perskimi i indyjskimi szalami; tam Szkot suknem i płótnem zamorskim handluje; ówdzie poważny Turek z długą brodą i z cybuchem<sup>35</sup> w ustach zasiadł za ladą, na której figi, daktyle, rodzynki, bakalie przeróżne stosami się piętrzą, aż ślinka idzie, a jeszcze gdzie indziej Niemiec, czy Holender zabawki ma takie, łątki, czyli lalki, koniki, pieski, piłki, że aż oczy bolą patrzeć i chciałoby się mieć to wszystko na własność.

Maciuś i Halszka przewijają się wśród ludzkiej gromady zrecznie i szybko, jak dwa piskorze<sup>36</sup>; sami nie wiedzą, na co spojrzeć. I to wabi, i to nęci. Wszędzie jest tyle piękności, że można by rok chyba cały po Rynku wędrować i jeszcze by się wszystkiego nie zobaczyło.

Aż ci tu nagle zahuczy bębenek, zaświszczy piszczalka, talerze blaszane zadźwięczą. Co to takiego? A to Cygan, czarnokudły, ciemny na gębie, uczonego niedźwiedzia na łańcuchu prowadzi. Cóż to za niedźwiedź! Boże miły! Wszystko umie, wszystko rozumie. Gada ci Cygan do niego jakimś łamanym językiem, z kiepska po węgiersku, a ten robi, co mu każą, ani się namyśli.

— Miszka! Ukłoń się ładnie jasno wielmożnym państwu!

Niedźwiedź się kłania.

— Miszka! Jak stare baby wodę z rzeki noszą?

Niedźwiedź dwa wiadra na drągu na plecy bierze i lezie taczając się z boku na bok, jak pijany.

— Miszka! Jak młode panienki na weselu tańczują?

I niedźwiedź nuż w podrygi, a w łamańce. Boki zrywać ze śmiechu!

Gdy się tak Maciek i Halszka zwierzowi mądrymu przypatrują, z nagła ktoś im ręce na oczach położył i ciekawy widok zasłonił.

— Zgadnijcie, kto to taki? — ozwał się głosik rzeźwy, wesoły, radosny.

— Waluś! Waluś! — ucieszyło się rodzeństwo. — Poznaliśmy cię od razu po głosie! Ale odsłoń—no już nam oczy i spozierajmy razem na niedźwiedzia.

Odwrócili główki: jakoż był to w istocie Waluś Klepka, synek dziesięcioletek imćpana Pietra Klepki, bednarza<sup>37</sup> z Zapiecka.

Waluś, dawny ich znajomy, miły i zabawny chłopczyk, jedną wielką miał wadę: urwis był z niego okrutny. Psocił i broił co niemiara; rady sobie z nim rodzice dać nie mogli. Obiecywał poprawę, przyrzekał posłuszeństwo, ale gdzie tam! Za parę dni — co dni! — za kilka godzin znów jakąś sztukę wyplątał. Niewytrzymanie ludzkie z takim wiercipiętą!

<sup>35</sup>cybuch — część fajki łącząca ustnik z główką, w której znajduje się tytoń.

<sup>36</sup>piskorz — ryba słodkowodna o zwinnym ciele.

<sup>37</sup>bednarz — rzemieślnik wyrabiający różne naczynia z drewna, w tym np. beczki.

Miasto, Tłum

Teatr

Dziecko

Niedźwiedź odprawił swoje widowisko, Cygan do czapki sporą kupkę nazbierał szelągów<sup>38</sup>, pomiędzy którymi gdzieniegdzie i srebrny grosz zabłysnął — i ruszyli dalej.

A ruszyli właśnie, jak na nieszczęście, w stronę Krzywego Koła.

Trójka malców powlokła się za gromadą, ale, gdy przechodzili koło zwalisk odwiecznego domostwa, o którym płatnerz wspominał, Waluś zatrzymał Maćka i Halszkę.

— Poczekajcie — szepnął tajemniczo — coś wam powiem, coś pokażę.

— No co? No co? — zaciekały się dzieci.

— Oto to, żebyśmy zeszli po tych schodach, co widzicie, do piwnic starego domu.

— Co ty gadasz, Walusiu? — zawołała Halszka. — Jakże to można, choćby żartem, mówić o tym. Toć-że tam straszy! Tatuś powiadali.

— Ehe! Straszy, straszy... Bajki ze strachami! A ja wam mówię, że tam są skarby zakłete. Zazierałem w piwnicę wczoraj w południe, to powiadam wam, coś tak błyszczało, gdy słonko zajrzało do wnętrza, że aż mnie oczy zabolaly. Ani chybi: złoto!

Maciek się zastanowił.

— A może by zniżyć<sup>39</sup> na chwilę, a skarby matysi i tatuściowi przynieść. Tożby się ucieszyli! Jak myślisz, Halszko?

— Ja nie znijdę! — rezolutnie zakrzyknęła Halszka. — Nie znijdę za nic na świecie!

— Och, ty mały tchórz! — zaśmiał się Waluś. — Nie schodź sobie, jeśli nie chcesz! My dwaj pójdziemy, prawda, Maciusiu?

I posunął się ku schodom, widniejącym z ulicy, a Maciek, że to był chłopak odważny i śmiały, za nim.

— Kiedy tak — na wpół z płaczem zawołała Halszka — to i ja pójde; nie opuszczę cię przecież, braciszku! Niech się dzieje wola Boska!

— I nie pożałujesz, Halszko, pełny fartuszek dukatów<sup>40</sup> ci nasypię. A teraz — schodźmy do piwnic!

I poszli.

## W LOCHACH ZWALISKA

Schody były drewniane, połamane i zepsute, a niektórych stopni brakło już zupełnie, tak, że trzeba było często skakać ze stopnia na stopień, pomijając otwierające się pomiędzy nimi luki. Dość uciążliwa była to droga, zwłaszcza, iż zaraz niedaleko od wnijscia<sup>41</sup> załamywały się schody i ciemność ogarnęła Walka, Maćka i Halszkę.

Wprawdzie niewielkie światelko migotało w oddali: było to zapewne okienko piwniczne, wychodzące na Brzozową, bo tyły domów z Krzywego Koła na tę właśnie ulicę miały widok, ale światelko to było dalekie i niepewne, ile że okienko musiało być brudne i pajęczyną zasnutę.

Waluś szedł przodem, o kilka kroków przed rodzeństwem; dobrej był myśli i podśpiewywał sobie wesoło, nie przeczuwał biedaczek, co go spotka za chwilę.

Tak idąc ostrożnie i pomału, zeszli nareszcie do lochu i znaleźli się w wielkiej, sklepionej piwnicy. Pod ścianami jej stały rozmaite rupiecie: stare okna, futryny, drzwi i różne nieużyteczne graty. Po prawej stronie piwnicy widać było, uchyloną nieco, żelazem okutą furtkę od dalszych zapewne lochów.

— Maćku, Halszko! — rzekł Waluś, a głos jego dziwnie ponuro rozbrzmiał w głębokościach podziemia. — Kiedyśmy tu już zeszli, to idźmy-ż i dalej, spenetrujemy całe zwaliska, a skarb znajdzie się na pewno.

— Walusiu, mój Walusiu! Proszę cię, chodźmy już na górę — rzewliwie zawołała Halszka. — Co nam po skarbach! Wróćmy! Ja się czegoś lękam okropnie.

— I ja bym radził wrócić — poważnie rzekł Maciek. — Dalszej drogi nie znamy; kto wie, co może być za tą furtką? Rodzice i nasi i twoi niespokojni będą. Czemuż ich martwić?

— A ja jednak pójde i wy pójdziecie ze mną! — krzyknął zapalczywie Waluś. — Co mi tam wszystkie bajdy o strachach! O! Raz, dwa, trzy! Już idę!

<sup>38</sup>szeląg — srebrna moneta, która w XIV wieku była bita i wprowadzona przez Krzyżaków.

<sup>39</sup>zniżyć — zejść.

<sup>40</sup>dukat — złota moneta europejska używana w XIX w.

<sup>41</sup>wnijsć — wejście.

I powiedziawszy to, podbiegł do furty zamczystej, szarpnął ją, otworzył — i nagle, jak piorunem rażony, runął na ziemię, jak długi.

Co to się stało?

Z otwartej czeluści drugiej piwnicy buchnęło zgnilizną i w zielonawym świetle, przypominającym blask świętojańskich robaczków, Maciek i Halszka ujrzeli okropnego potworka. Był to niby kogut, niby wąż. Głowę miał kogucią z ogromnym purpurowym grzebieniem w kształcie korony, szyję długą i cienką, węzową, kadłub pękaty, nastroszonymi czarnymi piórami pokryty, i nogi kosmate, wysokie, zakończone łapami o ostrych olbrzymich pazurach.

Ale najstraszniejsze były oczy potwora: wylupiaсте, okrągłe, do sowych ślepiów podobne, jarzące się to czerwono, to żółto; oczy te, na szczęście, nie widziały Maćka i Halszki, utkwiała je bowiem poczwara w ciało leżące na ziemi i nieżywego już biednego Walusia.

— Bazyliszek! — szepnął drżącym głosem Maciek. — To bazyliszek, siostrzyczko; schowajmy się, schowajmy czym prędzej!

I po cichutku, po cichutku, trzymając się za ręce, dzieci na paluszkach posunęły się ku ścianie i wślizgnęły się za wielkie drzwi o mur prastary oparte.

W tym ukryciu, bezpiecznym na razie, Maciek począł szeptać siostrzyczce do uszka:

— To bazyliszek! Słyszałem o nim od tatuńcia. Sroga to stwora! Na kogo spojrzysz — wzrokiem zabije! Tak zabił Walusia. Stójmy tu cicho, Halszko, stójmy cichutko...

— Boże, mój Boże! — załkała Halszka. — Co to będzie? Co się z nami stanie? Pomożemy tu przyszli? Pomożemy tu przyszli? Ja chcę do domu!

— Uspokój się, siostrzyczko — szeptał Maciek — wrócimy do domu, jeśli Bóg pozwoli; ale teraz chodzi o to, żeby nas bazyliszek nie spostrzegł, bo jak zobaczy i spojrzysz na nas — wszystko przepadło: umrzemy!

— Maćkuuuu! Maaaćku! Halszko! Halusiu! — rozległo się nawoływanie z ulicy — Maaaćku! Haaalszko! Gdzież wy jesteście? Obiad gotowy! Obiad gotowy!

Prerażone dzieci poznały głos Agaty, ale się odezwać nie śmiały.

Bazyliszek odwrócił łeb grzebieniasty, jeszcze straszliwiej najeżył pióra i jaskrawymi ślepiami spojrzął w stronę schodów.

Na schodach stanęła stara Agata, a za nią, w ulicy, widać było gromadkę mieszczanek i mieszczan.

— Tu zeszły, tu zeszły na pewno — ozwały się głosy na górze — musiały się zabłąkać w podziemiach; nie schodźta, Agato, bo was jeszcze jakie licha zadusi!

Ale Agata, poczciwa stara służąca, już schodziła do lochu — i oto zaledwie zeszła na dół, zabrzmiał jej okrzyk, okropną trwogą wezbrany, i głucha, posępna cisza zaległa znowu piwnicę.

To płomienisty wzrok bazyliszka uderzył w nieszczęsną i trupem ją na miejscu położył.

Gromadka przed schodów pierzchnęła<sup>42</sup> w Rynek i w przyległe uliczki, roznosząc wieść okropną na miasto. Skamieniałe z prerażenia rodzeństwo przytuliło się do wilgotnego muru, trzymając się konwulsyjnie za rączki, a bazyliszek rad ze zniszczenia, jakie uczynił, począł się przechadzać po lochu tam i z powrotem, tam i z powrotem. Wydostać się z piwnicy nie było sposobu!...

## U CZAROWNIKA

— Pani Ostrożyno! Pani Ostrożyno! Dzieci wam przepadły! Dzieci wam w lochach zginęły!

— Jezusie! Maryjo! Co takiego! Co wy mówicie, ludzie? Gdzie? Jak? Gadajcie!

— Ano, polazły do piwnic na Krzywym Kole i, musi, bies<sup>43</sup> im główki ukręcił, niebożętom!

— Chrystusie cudowny u Fary! Ratuj! Wspomagaj! — Skąd-że wy wiecie to wszystko?

<sup>42</sup>pierzchnęła — uciekła.

<sup>43</sup>bies — diabeł.

— Widzieli szewczyki z przeciwka, jak dzieci z Walkiem od Klepki schodziły w podziemia, a potem wasza Agata wołała je, wołała, aż zeszła do piwnic — krzyknęła okropnie — i już nie wyszła! Słyszeliśmy!

— Agatę ja posłałam, bo dzieci nie wracały. Boże wielkiego miłosierdzia, bądź miłościw mnie grzesznej! Co ja tu pocznę, nieszczęsna?!

W przedsienu uczynił się rumor i przedzierając się przez ciżbę wpadł do alkierza mistrz Melchior. Błady był płatnerz i drżący, bo już dowiedział się był<sup>44</sup> w kuźni o srogim ciosie, jaki go ugodził. A Maćka i Halszkę miłował ponad wszystko, ponad życie własne!

— Co robić, Melchrze, co robić? — biadała Ostrożyna. — Ratuujmy—ż nasze małeństwo kochane! Ślubuję Ci, Panie Jezu, srebrne serce złożone pod Twoje nóżki najświętsze, jeno dopomóż nam w tym strapieniu!

Z gromady wysunął się sędziwy rajca<sup>45</sup> miejski, imćpan Ezechiel Strubicz, mąż mądry i stateczny, znany całej Warszawie z dobroci i z przywiązania do dziatwy staromiejskiej.

— Co robić? — powtórzył. — Ja wam poradzę, co robić: walcie, jak w dym do czarownika na Piwną. Któż jak nie on lek znajdzie na waszą troskę skuteczny? On się zna na sprawach ziemskich i zaziemskich, boć to i doktor, i alchimista, i astrolog, i człek, co po uszy w księgach starych siedzi. Ba! Skrzydła ponoć zmajstrował i nocami na nich po powietrzu lata.

— Walcie do czarownika! Walcie do czarownika! — wrzasnęła gromada. — On pomocy, on dopomoże! Dobra rada! Przednia!

— Najprzedniejsza — przytaknął strapiiony rodzic. — Bóg wam zapłać, Strubiczu! Chodź, żono, idziemy na Piwną.

— I ja z wami — imćpan Strubicz na to — a nuż się jeszcze uda Maćka i Halszkę odszukać.

— Daj—że to, Matko Boska Częstochowska — zapłakała Ostrożyna. — Niech się tak stanie!

Na Piwnej, na czwartym piętrze pod samym dachem wysokiego narożnego domu, mieszkał sławny i uczony doktor, dominus Hermenegildus Fabuła, znany nawet na dworze króla jegomości.

Nie był to, prawdę mówiąc, czarownik, tylko wielce znamienity lekarz i człek we wszystkich kunsztach<sup>46</sup> i naukach wyzwolonych doświadczony. Jeno gmin warszawski, widząc jego prawie cudowne kuracje, i obserwując z daleka tajemnicze praktyki, mienił go, w prostocie swojej, być czarnoksiężnikiem, z mocami nadprzyrodzonymi mającym ścisłą styczość. A że pan rajca Strubicz czarownikiem go nazywał, to jeno tak tylko, aby ludowi na poprzek nie stawać, który lubi rzeczy niezrozumiałe i rad ku cudowności się obraca, samą mądrość ludzką lekce sobie ważąc i zgoła postponując.

W obszernej komnacie o łukowym sklepieniu siedział za wielkim stołem, zawalonym księgami i pergaminami, człeczek małeńki, chuderlawy, wyschły, o licu poźółkłym, pomarszczonym, jak pieczone jabłko; ale źrenice w tej twarzy, ogromne, czarne, jarzyły się, jak pochodnie gorejące, a taką miały moc i potęgę te oczy, że, gdyś w nie spojrział, zdawało ci się, iż na wielkoluda spozierasz, i mimowiednie budziły się w tobie lęk, podziw i uszanowanie dla tej niepozornej, a jednak imponującej postaci.

U sufitu komnaty wisiał wypchany krokodylek łokciowy<sup>47</sup>, w kącie stała mumia egipska, na oknie w słojach rozlicznych pływały się ropuchy, węże, padalce, robaki jakieś zamorskie. A wszędzie, gdzieś spojrział, księgi, księgi i księgi.

Gdy mistrz Ostroga z żoną i z imć panem rajcą Strubiczem weszli do doktora Fabuli, ów podniósł oczy od foliantu<sup>48</sup>, w którym coś czytał z ciekawością i zadowoleniem ogromnym, bo aż się uśmiechał radośnie, ale, zobaczywszy wchodzących, wstał, obciągnął swoją czarną szatę, co mu się pofałdowała na ciełe, i spytał:

— A czego to waćpaństwo życzycie sobie ode mnie?

Matka, Ojciec

Czary, Lud

<sup>44</sup>Forma czasu zaprzeszłego. Czas ten nie jest używany we współczesnej polszczyźnie.

<sup>45</sup>rajca — dawny radca miejski. Stanowisko to piastowane było w danwej Polsce.

<sup>46</sup>kunszt — sztuka, umiejętność.

<sup>47</sup>krokodylek łokciowy — krokodylek długi na łokieć, tj. ok. 60 cm.

<sup>48</sup>foliant — daw. księga.



Tedy Ostrożyna z płaczem a narzekaniem wielkim opowiedziała całą sprawę, a gdy skończyła i chlapiąc błagać poczęła o pomoc i ratunek, dominus Hermenegildus Fabuła tak rzecze:

— Wiem ci ja dobrze, co było przyczyną zaguby waszmość państwa dziątek, bom właśnie w tej księdze o podobnych przypadkach traktat wertował. Oto, ani mniej, ani więcej, tylko stwórz najniebezpieczniejszy i najszkodliwszy na ziemi, który się zwie: bazyliszek.

— Bazyliszek? — zakrzyknęli w popłochu Strubicz, Ostroga i Ostrożyna — bazyliszek! Tedy już nadaremne wszystkie trudy i starania nasze!

— Z trwogi waszej wnoszę, iż waćpaństwu wiadoma jest natura owego zwierza i to, iż on wzrokiem swoim wszelkie żyjące stworzenia zabija. Alić Bóg jest wielki i nadziei do ostatka tracić człękowi wierzącemu nie wolno. A choćby wreszcie i pomarły już dziecięcki wasze, toć trzeba je wydobyć z piwnicy, aby przecie pogrzeb chrześcijański mieć mogły; bazyliszka zaśić ubić należy koniecznie, boć niejedna jeszcze ofiara od ślepiów jego zabójczych na śmierć pewną pójdzie, ani chybi! Póki ta bestia przeklęta żywie, Warszawa spokojności nie zazna!

— Jakże to uczynić, mężu uczoney? — zapyta Strubicz.

— Jakże to uczynić? Jakże to uczynić? — zawołają Ostroga i Ostrożyna.

— Jest sposób — odpowie Hermenegildus Fabuła — jest taki sposób, jeno tak trudny i niebezpieczny, że nie wiem, azali się znajdzie kto w tym tu mieście, coby się ważył na takie przedsięwzięcie.

Oto trzeba, aby do lochu zeszedł człowiek, całkowicie obwieszony zwierciadłami; gdy bazyliszek spojrzy w nie i siebie zobaczy, sam się własnym wzrokiem zabije, a tak uwolnilibyśmy od potwora i tę Warszawę umiłowaną i całą przesławną Rzeczpospolitą.

— Sposób jest dobry i pewny, ani słowa! — wyrzeknie Strubicz. — Ale skąd wziąć takiego śmiałka, co zdrową głowę pod ewangelię położy<sup>49</sup>?

— Tak, tak — zajęknę Ostrożyna — nie ma już takich ludzi na świecie!

Nagle do komnaty Fabuli dobiegł ponury głos farnego<sup>50</sup> dzwonu, a w ślad za tym przejmującym dźwiękiem, ogromny gwar tysięcznego tłumu. Imćpan Strubicz wychylił się przez okno.

— Mam! mam! — zakrzyknął radośnie. — Mam takiego człowieka! Kumie! Kumo! Za mną!

— Bóg zapłać, uczoney mężu! Bóg zapłać!

I już ich nie było w komnacie.

## SKAZANIEC

Od Rynku w stronę Piekielka zdązał ponury, choć jaskrawy orszak. Przodem szła straż miejska z halabardami, za nimi „bracia pokutnicy” w długich ciemnych opończach, z twarzami osłoniętymi rodzajem maski sukiennej, w której wycięto jedynie otwory na oczy; dalej dostojnie stapał imćpan pisarz miejski ze zwojem pergaminu w ręku, za panem pisarzem asysta z urzędników sądowych złożona, wreszcie dwie główne osoby pochodu: skazaniec, niemłody już, brodaty mężczyzna w nędznej odzieży, ze związanymi w tyle rękoma, i kat, olbrzymi, rozrosły drągal, cały w czerwieni, z potężnym błyszczącym mieczem i z dwoma butłami, czyli pachołkami. Po bokach, z przodu i z tyłu orszaku cisnęło się mrowie nieprzeliczone warszawskiego pospólstwa, uliczników, urwisów i wszelakiej hałasty, ciekawej okropnego widowiska.

Już pochód stanął na placyku, Piekielkiem zwanym, gdzie pośrodku, na czarnym suknie, widniał pieniek, miejsce stracenia; już pan pisarz miejski odczytał nosowym głosem wyrok, brzmiący: iż Jan Ślżak, krawczyk wędrowny, oskarżony o zabójstwo swego towarzysza podróży, na gardle ma być ukaran i mieczem ścięty; już skazaniec klęknął przy pieńku i głowę na nim położył, a kat mieczem straszliwym błysnął pod słońce, gdy nagle... gdy nagle imćpan Ezechiel Strubicz z mistrzem Ostrogą przedarł się przez stłoczone tłumy gawiedzi i tubalnym basem zakrzyknął:

— Stójcie! Stójcie!

<sup>49</sup>zdrową głowę pod ewangelię położy — będąc zdrowym zdecydować się na śmierć, czy choćby zaryzykować życie.

<sup>50</sup>fara — dwa. kościół parafialny.

Kat miecz wzniesiony opuścił, skazaniec zadygotał całym ciałem, a pan pisarz miejski, zdjęte dopiero co okulary z powrotem na nos sążnisty założywszy, niechętnie spojrzął na rajcę, oczekując wyjaśnienia sprawy.

A imćpan Strubicz rozpoczął przemowę:

— Po pierwsze: w imieniu szlacheznego burmistrza miasta starej Warszawy rozkazuję wstrzymać egzekucję! Po drugie: natychmiast rozwiązać winowajcę! Po trzecie: zbliż się, Janie Ślązaku!

Zapytuję ciebie, Janie Ślázaku, któryś jest na śmierć osądzon i nic cię od niej ocalić nie może, azali zgadzasz się zniżyć do lochu, gdzie przebywa bazyliżek, i zabić oną bestię zjadliwą?

Jeżeli to uczynisz — wolny będziesz! To ci przez moje usta sam szlachezny burmistrz i cała wysoka rada miejska solennie obiecuje i przyrzeka.

Zdumiał się wielce imćpan pisarz miejski, zdumiało się pospólstwo, a skazaniec, wznosząc dziękczynnie oczy ku niebiosom, odpowie:

— Zgadzam się, przezacny panie, zgadzam się tym łacniej, iż — Bóg mi świadkiem — niewinny jestem zarzucanej mi zbrodni i tak myślę, że łaska Pana Jezusowa będzie ze mną.

Tedy nie mieszkając wiele, powiedli Strubicz i Ostroga skazańca na Ratusz, skąd, obwieszzonego zwierciadłami, zaprowadzono na Krzywe Koło i kazano mu zniżyć do podziemi. Burmistrz, rajce, ławnicy i setki ludu czekały na ulicy, a przed wszystkimi, wpatrzeni chciwie w otwór piwniczny, stali mistrz Ostroga, pani Ostrożyzna i dobry rajca Strubicz. Uplynęła chwila — i oto w lochu rozległ się głos przeraźliwy: coś, jakby chrypliwe pianie koguta, jakby świszczący syk węża, jakby śmiech diabelski, a takie to było okropne, że zgromadzonym aż ciarki przeleciały po grzbietach i włosy dębem na głowach stanęły.

— Zabity! Zabity! — zadźwięczał donośnie głos Jana Ślázaka.

— Zabity! — zahuczał tłum. — Bazyliżek zabity! — wichrem pomknęła radosna wieść na Rynek, na Świętojańską, na Piwną, na Brzozową, na oba Dunaje: Szeroki i Wąski, i na całą starą Warszawę.

A na schodach piwnicznych ukazała się postać cała w lustrach, niosąca na ostro zakończonym drągu straszliwego potwora.

Porwał go kat z rąk dzielnego Ślázaka i na Piekielku, na stosie ognistym, ku uciesze tysięcznego ludu, na popiół spalił.

Stało się wszystko tak, jak przepowiedział mądry doktor Hermenegildus Fabuła: bazyliżek spojrzął w zwierciadło i sam się wzrokiem swym jadowitym zatrul i zabił.

Ale pani Ostrożyzna, mistrz Ostroga i rajca Strubicz, wzięwszy zapaloną pochodnię, pędem pobiegli do lochu.

— Maćku! Halszko! — wołała matka. — Maćku! Halszko! — wołał ojciec. — Załiście żywi? Ozwijcie się! Gdzie wy? Gdzie wy?

— My tu, matusiu! My tu, tatuńciu!

I z ukrycia swego, zza wielkich drzwi, o mur prastary opartych, wybiegły dzieci i zdrowe, choć pobladłe jeszcze ze strachu, rzuciły się w objęcia rodziców. O, jakaż radość! O, jakież szczęście! Uściskom i pocałunkom końca nie było, aż imćpan rajca Strubicz, choć taki stary i mądry, płakał jak bóbr i od płaczu się zanosił.

---

Tak się skończyła przygoda z bazyliżkiem. Przyplęcili ją życiem nieposłuszny Waluś i stara, pocziwa Agata. Zwłoki ich, wydobyte z piwnicy, pochowano uroczyście, a rodzina Ostrogów nigdy o nich nie zapomniała.

Co do mężnego Jana Ślázaka, to okazało się, iż on istotnie nie był winien zabójstwa swego kamrata; ten bowiem zjawił się niebawem w Warszawie i opowiedział, że zabłą-

kawszy się w boru, przebył w nim bodaj miesiąc z górą, aż go węglarze, drzewo w lesie wypalający, przypadkiem znaleźli i do Warszawy, na dobrą drogę skierowali.

Zaden bazyliżek już się więcej w mieście nie pokazał.

## Chrystus Cudowny u Fary

### I

Był raz sobie prawowity Mazur,  
Bitny wojak z dziada i pradziada,  
Gdy wróg Polsce pokazywał pazur,  
On, bywało, na rumaka siada.

Polak, Religia, Walka

Goni w polu Turki i Tatary,  
Oko w oko z poganem<sup>51</sup> się zmierza, —  
A że człek był staroświeckiej wiary,  
Nigdy w bitwę nie szedł bez kaplerza.

Na kaplerzu, co lśnił z napierśnika,  
Swe Dzieciątko tuli Boża Macierz,  
Gdy w namiocie wojak się zamyka,  
Przed kaplerzem odmawia swój pacierz.

Wzłata w niebo duszą chrześcijańską,  
Zanim jutro skoczy w boje krwawe,  
I wspomina Farę Świętojańską,  
Stare Miasto i starą Warszawę.

### II

Tam, gdzie domy stoją, jak w ordynku<sup>52</sup>,  
A każdemu jakiś znak dał snycerz<sup>53</sup>,  
W kamienicy „Pod niedźwiedziem” w Rynku  
Owy dzielny przemieszkiwał rycerz.

Widać szarą wstęgę naszej Wisły  
Z okien jego izdebki podniebnej,  
To słoneczne blaski na niej błysły,  
To ją księżyc opromienia srebrny.

Aż tu kiedyś, w wiosenne świtanie,  
W pełnym kwiatów i piosenek maju,  
W okna — trąbek uderzyło granie  
I krzyk ludu: „Wojna! Turczyn w kraju!”

Wojna, Wróg

Co tu myśleć, mościpanie, długo!  
Dźwiężą szable, rżą bojowe konie;  
Wojak wiernym był ojczyzny sługą,  
Więc, jak inni, walczy w jej obronie.

<sup>51</sup>poganem — dziś poprawnie: poganinem.

<sup>52</sup>w ordynku — w szeregu.

<sup>53</sup>snycerz — rzemieślnik zajmujący się rzeźbieniem w drewnie.

### III

Dni żołnierskich zmienne są koleje:  
Sława błysnie, kulka żebra zmaca,  
To się dobrze rycerzowi dzieje,  
To się szczęście od niego odwraca.

Żołnierz

Pod srebrzystym chorągwanym ptakiem  
W mnogich walkach mężnie się potyka,  
Aż raz runął z rozciętym szyszakiem<sup>54</sup>  
I w tureckie poszedł, biedak, łyka<sup>55</sup>!

Jakże ciężko w pogańskiej niewoli  
Swobodnemu cierpieć Polakowi;  
Jak to serce od pęt wrażeń boli, —  
Tego żadnym słowem nie wypowie!

Niewola

Niechby raczej zabiły go kule,  
Niż ma szarpać poniewierka taka;  
Nad Bosforem, w dalekim Stambule,  
W utrapieniu płyną dni wojaka.

### IV

Że Polacy do koni zwyczajni, —  
Naród ziemian i naród wojaków, —  
Służą Mazur przy sułtańskiej stajni  
I arabskich pilnuje rumaków.

Polak

Konie ścigle, jak wiatr, a rozumne,  
A tak zwinne, jak panienka z tańca, —  
O, mój Boże! daj, nim pójdę w trumnę,  
Takim koniem zdeptać łeb pohańca<sup>56</sup>!

Od świtania już na służbie swojej,  
Co wojenkę na pamięć przywoździ,  
Rycerz karmi, czyści je i poi,  
Po podwórku pałacowym wodzi.

A był jeden siwek między niemi,  
Co, jak pies, się przypodobać umie,  
Na grzbiet skoczysz — ledwo tyka ziemi  
I, jak człowiek, głos ludzki rozumie.

### V

Pędzą konie, co rano, aż dudni,  
I co wieczór, gdzie je wojak poi,  
A na placu przy stajennej studni,  
Boże! Cóż to za figura stoi?

Wróg, Religia

Aż się język w ustach onieśmiela!  
Aż, jak lodem, krew się w żyłach ścina!

<sup>54</sup>szyszak — rodzaj hełmu.

<sup>55</sup>poszedł... w łyka — przen.: trafił do niewoli, został związany łykami, czyli sznurami.

<sup>56</sup>pohańca — poganina.

To Pan Jezus! To krzyż Zbawiciela!  
Splugawiony ręką poganina!

Na znak wzgardy złe niewiernych dłonie,  
Bijąc posąg ze złością przeklętą,  
Do nóg Zbawcy przywiązują konie  
I śmigają biczem przez twarz świętą.

Tak codziennie o świcie i zmroku  
Czerń nad krzyżem znęca się szalenie,  
Aż łzy, zda się, błyszczą w Bożem oku,  
Aż pierś z drewna podnosi westchnienie.

## VI

Jakże płacze Mazur prawowity,  
Pełny wiary rycerz chrześcijański,  
Nad bluźnierstwem, co bluzga w błękity,  
Nad Postaci pohańbieniem Pańskiej!

Tak codziennie o świcie i zmroku  
Czerń nad krzyżem znęca się szalenie,  
Aż łzy, zda się, błyszczą w Bożem oku,  
Aż pierś z drewna podnosi westchnienie.

Niżli patrzeć na te krzywdy Boże,  
Żywym ogniem wolałby się spalić,  
Aż już dłużej znieść męki nie może —  
I krzyż musi od wzgardy ocalić!

Więc, odziany lachmany nędznymi,  
W noc, co blaskiem gwiazd złotych nie płonie,  
Pod krzyż biegnie — wydziera go z ziemi —  
I w głąb studni krzyż ciska: niech tonie!

Niech on raczej zgnije w czystej wodzie,  
Niżby miał się wzdrygać od krzywd wielu,  
O, Jezusie! Jużes na swobodzie,  
Jużes teraz wolny, Zbawicielu!

## VII

Cicho, cicho niewolnik szczęśliwy  
Na sen wraca — już nic go nie boli,  
A wtem zarży arabski koń siwy,  
Jego wierny przyjaciel w niewoli.

I natchnienie w myśl więźnia uderzy,  
Do powrotu mu drogę wskazuje,  
I arabczyk już bieży, już bieży,  
Rozdął chrapy ogniste: step czuje!

Dzień po dzionku, przez kraje, przez obce,  
Dzielny rumak, jak burza, przelata;  
Aż graniczne widnieją już kopce  
I znajomy, rodzinny kąt świata.

Ojczyzna

Twarz tu słońca, jak nigdzie, świetlana,  
Kwiaty pachną, że tylko je zbierać!  
To ojczyzna! to Polska kochana!  
Gdzie żyć miło i miło umierać!

## VIII

Siedzi wojak w starym domu, w Rynku,  
Z okna izby na Wisłę ogląda,  
O swym zbożnym wspomina uczynku  
I krzyż tamten widzieć mu się żąda.

Noc mu owa przed oczyma stawa  
I ucieczka z kraju tureckiego, —  
Aż tu krzykiem zahuczy Warszawa  
I ku Wiśle tłumy ludu biega.

Wyjdzie wojak z swojej kamienicy  
I ku rzece przeciska się z trudem:  
Tłum na Rynku, tłum w każdej ulicy  
I pobrzeże wypełnione ludem.

Złotem słońcem goreją niebiosy  
Nad Warszawą zatłoczoną ściśle,  
Zewsząd słychać zadziwione głosy  
I wołania: „Cud! cud! cud na Wiśle!”

## IX

A na Wiśle, w tej rannej godzinie,  
W blaskach słońca błyszczący wspaniale,  
Krzyż Chrystusów<sup>57</sup> przeciw wodzie płynie —  
I pokorne całują go fale.

Wyszedł biskup w pozłocistej szacie,  
Sam pan burmistrz i dostojna Rada,  
Dźwięczy miasto w dzwonów majestacie  
I dzwonami z modrym niebem gada.

Setki łódek po rzece śmigają,  
Lecz dopłynąć nie mogą do krzyża;  
Już zbliżają się — widać — zbliżają,  
I znów fala odepchnie je chyża.

Czas ucieka na miejskim zegarze,  
Kończy słońce swój obieg powrotny,  
Sił próbują najlepsi wioślarze —  
A krzyż płynie i płynie samotny.

## X

Krzyż z niewoli poznał żołnierz stary.  
Na brzeg biegnie, lży radosne leje,

Religia, Woda

Przedmurze  
chrześcijaństwa, Religia,  
Żołnierz

<sup>57</sup>Krzyż Chrystusów (stpol.) — krzyż Chrystusowy.

I przyklęka przed biskupem z Fary  
I powiada z Turecczyny dzieje.

Więc mu biskup do łodzi sięć każe,  
Sam z Najświętszym siada Sakramentem;  
O toń biją wiosłami żeglarze  
I już — już są przed Obliczem świętem.

A gdy wojak wyciągnął swe dłonie,  
By Chrystusa przycisnąć do łona,  
Krzyż ku jego pochylił się stronie  
I padł w swego obrońcy ramiona.

Widać z lica, że odtąd na wieki  
Chce być Jezus z tym grodem w przymierzu  
I szept wionął, jak tchnienie, tak lekki:  
„Błogosławię cię, polski rycerzu...”.

## XI

W całym mieście grają wszystkie dzwony,  
Wszyscy ludzie weseli i radzi  
I w triumfie naród zgromadzony  
Krzyż Cudowny do Fary prowadzi.

Szumią z wiatrem cechowe sztandary,  
Lśnią, jak kwiaty, kolorami wiosny,  
A Chrystusa niesie wojak stary,  
Taki dumny i taki radosny!

I w kaplicy osobnej, w świątyni,  
Co pamięta pierwsze grodu lata,  
Mnogie cuda warszawianom czyni  
Krzyż z figurą Zbawiciela świata.

My na Jego opiekę się zdajem,  
Nic nam wrogi i nic nam złe mary,  
Póki czuwa nad miastem, nad krajem  
Nasz Pan Jezus Cudowny u Fary!

## Zbójcy

Dwieście lat temu Nowe Miasto warszawskie otoczone było wielkimi moczarami i gęstymi zaroślami, w których nierzadko ukrywał się zwierz dziki, tak, że zdarzało się nieraz, iż mroźną zimą głodne wilki przybiegały na rynek nowomiejski i wyły po nocach przed jatkami rzeźników.

W czas takiej to właśnie zimy długotrwałej, w wieczór zawieruchą śnieżną dmący, do jednej z gospód, w pobliżu kościoła Panny Marii, przywłókł się stary, obdarty, skulony z zimna, dziad.

Rozejrzał się po izbie obszernej, o gościnę pokornie poprosił, że to — powiada — nie ma się gdzie schronić, a głodny jest taki, iż nogi go już nosić nie zdołają.

Choć żebrakowi źle jakoś z oczu patrzyło, miłosierni gospodarstwo nie odmówili mu przytułku. Jeść dali, pić dali i na ciepłym przypiecku przespać się pozwolili.

Miasto

Wlaził ci dziadyga za piec, postękał, pokwękał i po krótkiej chwili zasnął widocznie, bo jął chrapać, aż grzmiało.

A że to noc już na świat boży zapadła, tedy i gospodarstwo, pobożnie odmówiwszy pacierze, do snu się ułożyli, a też i dziewczyna służebna, gdy statki zmyła i podłogę zamiotła, wlaźła pod pierzynę do swojego łóżka i już, już sen jej padał na oczy, gdy, nagle a niespodziewanie, coś ją tknęło, coś jakby zaszeptało: „Nie śpij, dziewucho, czuwaj...”

Przeleżała się dziewczynina, ale nic, czuwa, jak jej ten głos wewnętrzny rozkazał. Modli się po cichutku, w sobie, i czeka, co to z tego będzie.

Minęła tak dobra godzina, a może i więcej, aż ci tu słyszy dziewucha: ktoś się za piecem gramoli. Wyrzała jednym okiem spod pierzyny, niewiele widzi, bo ciemno, ale tak myśli, że to chyba dziad ów zza pieca wylazi.

Jakoż tak było w istocie. Dziad to, przybędła, na czworakach idzie cichuteńko, poszedł do stołu, podniósł się, świeczkę zapalił, postawił na stole i rozejrzał się wokół.

Panie Boże miłosierny! Straszne rzeczy! Dziadzisko już nie skulone, nie takie stare, jak się wydawało. Wyprostował się teraz, z ogromniał jakoś, nóż długi a ostry w rękę trzyma, ślepie mu błyszczą, jak wilkowi. Zbójca!

Dziewuszyśko zatrzęśło się ze strachu, ale zaraz pomyślała sobie: jak zobaczy, że nie śpię, zabije mnie, trzeba leżeć cicho, ani tchnąć.

A wiedziała też dobrze dziewczyna, co to za świeczka taka: z trupiego łoju! Taka świeczka ma tę własność, że póki się pali, nikt ze śpiących w izbie ocknąć nie może; obudzi się dopiero, gdy świeca zgaśnie. Okropieństwo!

Rozejrzał się tedy ów zbójca, pomedytował chwilę i sunie bez szelestu, jak zły duch, naprzód do gospodarstwa, zobaczyć, czy śpią mocno?

Pochylił się nad nimi, a nóż wzniesiony w garści trzyma, popatrzył, posłuchał: spali.

Więc lezie pomaleńku, wprost ku łóżku dziewczyny służebnej. Uniósł pierzynę z jej głowy, przygląda się, a dziewucha dech zataiła w sobie, ani drgnie. Coś się zbójowi w niej nie spodobało, coś widać, psi syn, zauważył takiego, że niedowierza; schylił się, nasłuchuje, czy równo oddycha: równo.

Ehe! Nie taki on głupi! Nie dosyć mu na tym! Uszczypnął ją w policzek: nic! Wyciągnął szpilkę z kapoty, ukłul: nic! Jeszcze mu mało!

Wrócił się do stołu, wziął świeczkę, skrada się, a wciąż spoziera na twarz dziewczyny. No! niema co! śpi!

— Czekaj, bestyjo — powiada — albo ty śpisz, albo nie śpisz; jeśli nie śpisz, to zaraz mi tu narobisz krzyku.

Stanął przy nogach łóżka i nuż bosc stopy służącej przypiekać oną świeczką z trupiego łoju. Przypieka, aż skóra skwierczy, aż bąble wyskakują. Dziewucha, jak nieżywa; ani się ruszy.

— Śpi, jak zarżnięta — mruknął zbójca. — Takiego bólu żaden człek bez wrzasku nie wytrzyma.

A ta dziewczyna taką siłę miała i taką wytrzymałość, iż ową mękę śmiało przeniosła, że to niby i jej życie i jej gospodarstwa poczciwych od udawania, jako śpi, zależało.

Uspokoił się zbójca, stawia świeczkę na nowo na stole, a sam drzwi cicho, cichutko otwiera i myk na dwór, po swoich kamratów.

Ale już dziewczyna zerwała się z łóżka, na bałykach, bo chodzić nie mogła od bólu okropnego, do furty się dowlokła i żelaznym drągiem ją zawarła.

Jeszcze nie zdążyła wynijść z sieni, aż ci tu pięciu zbójów za drzwiami staje i chce furkę otworzyć.

Ale! gadaj mu tam! Otwieraj, kiedy zamknięte! A wylamywać furkę bali się, bo kościół blisko i hałas mógłby kto ze służby kościelnej usłyszeć!

Słyszysz dziewucha, jak gadają:

— A mówileś, że otwarte. Czemuś nas zwiódł?

— Nie zwiódłem! Było otwarte! Ino wiem, jak się to stało: to ta szelma dziewczyna nie spała i furkę zawarła.

— Nie ona szelma, tylko ty szelma, żeś się nie poznał i dziewuchy nie zarżnął!

— Ano, niema co gadać po próżnicy! Na nic dziś cała robotą. Chodźmy do lasu! Ale dziewczusze przy okazji odplacim!

Cierpienie, Sługa



Poszli. A służąca wstała, świeczkę czarodziejską zgasila, zażęła łuczywo, zbudziła gospodarstwo i opowiedziała im rzecz całą.

Chorowała długo, a gdy wyzdrowiała wreszcie, przeniosła się aż na Litwę, bojąc się zemsty owych zbójów przeklętych.

## *Biała dama*

### I

Stanisław August siadł na tronie,  
Głośnie mu „Wiwat” lud wykrzyka<sup>58</sup>,  
I miecz Batorych ujął w dłonie,  
Lecz to nie dłonie wojownika.

Nie do pancerza pierś królewska,  
Ani do hełmu białe czoło, —  
A tu się chmurzy toń niebieska  
I groźne wichry szumią wkoło.

Czyha na Polską cudzoziemiec,  
Słabnie potęga ojców stara,  
W Rzeczypospolitej Moskał, Niemiec  
Rządzi się właśnie, jak gęś szara.

Wprowadza wojska swoje wraże<sup>59</sup>,  
Wolność narodu pcha w mogiłę, —  
Niech Polak słuca, gdy on każe,  
Za nic mu prawo, — on ma siłę

PRZYWÓDCA, WALKA,  
WŁADZA, WRÓG

Wróg

### II

Stanisław August krzewi sztuki  
I o oświatę dba narodu,  
Ale kraj szarpia, jakby kruki,  
Sąsiedzi z wschodu i zachodu.

Nie ma kto wydać hasła boju,  
Z „Bogarodzicą” grzmiącą w nieba, —  
Taki król dobry w czas pokoju,  
Teraz Sobieskich Polsce trzeba.

Z nim by poleciał lotem ptaka  
Nasz orzeł w polu purpurowym,  
Znów pod Grunwaldem zgnieść Prusaka,  
Na łeb Moskala bić pod Pskowem!

Lecz dobrze wiedzą źli sąsiedzi:  
Król Jan w katedrze śpi krakowskiej,  
A na warszawskim Zamku siedzi  
Stanisław August Poniatowski.

Wróg

---

<sup>58</sup>wykrzyka — wykrzykuje.

<sup>59</sup>wraże — obce.

### III

Król Staś w komnacie swej bogatej  
Coś tam rozważa, coś tam myśli:  
Może mu śnią się sławy kwiaty,  
Lub plan „Łazienek” nowych kreśli.

A tu zawzięte wrogi nasze  
Ojczyznę dwakroć już rozdarły;  
Huczą armaty, lśnią pałasze,  
I dzwon grzmi Polsce, jak umarłej.

Kościuszko wzywa, by rwać pęta,  
A z nim najlepsze w kraju męże —  
I wzyź przysięga leci święta:  
„Albo polegnę, lub zwyciężę!”

Lecz po Raclawic bitwie chwackiej  
Znowu się sypią klęski krwawe —  
I wojsk carowej tłum żołdacki  
Wiedzie Suwarów na Warszawę.

Wojna

### IV

Na krwią zbuczonych Pragi wałach  
Wre bój zacięty, bój ostatni,  
Mrą kanoniery przy swych działach,  
Ginie walecznych hufiec bratni.

Mężny Jasiński, Korsak dzielny  
Już legli — męże wiekopomni! —  
Nigdy ich sławy nieśmiertelnej  
Wdzięczna ojczyzna nie zapomni!

Suwarów z setki armat wali,  
Napiera podłych zbirów zgrają, —  
I lecą kule dalej, dalej,  
W królewski Zamek uderzają.

Zda się, mur Zamku się rozrywa,  
Zda się, dygoce ziemia sama...  
Król Staś padł w fotel, twarz zakrywa:  
Stanęła przed nim — Biała Dama.

Ojczyzna, Śmierć  
bohaterska, Walka, Wojna

Wizja, Wyrzuty sumienia

### V

Na piersiach ranę ma czerwoną,  
Z której koralem krew się broczy,  
I tak żałośnie drży jej łono,  
I tak się łzami srebrzą oczy.

Z gorzkim wyrzutem patrzy w króla,  
A jemu serce mrze od trwogi, —  
„Tam — szepce widmo — Moskal hula,  
Po moich synach depcą wrogi!”

We krwi się pławi ma kraina  
I w każdym sercu tyle bólu!  
Czyjaż to wina? Czyja wina?  
Uderz się w piersi, słaby królu!

Mój naród w pęta dziś okuty,  
Gdzie spojrzeć — rozpacz, łza i blizna;  
Iluż to trzeba lat pokuty,  
By wolną była znów Ojczyzna!...”

## VI

Polska w niewoli byt swój wlecze,  
Trzech ją tyranów uciemieży,  
Rdzewieją w pochwach stare miecze —  
I niema pola dla oręża.

Niewola, Powstanie

Ale się naród nie upodli  
I łzę ukrywa, co z ocz ścieka,  
Obój się z wrogiem co dzień modli  
I na wolności jutrznię czeka.

A każdy poryw ku swobodzie,  
Krwia bohaterów okupiony,  
Skraca twej męki czas, narodzie,  
Zbliża odrodzin świt wysniony.

A gdy już zda się, zmartwychwstaje  
Słońce wielkości, gloria chwały, —  
W warszawskim Zamku w oknie staje  
Urocze widmo Damy Białej.

Ojczyzna, Wolność,  
Żołnierz

## VII

Zapchany ludem plac Zamkowy,  
A wszyscy patrzą w stronę Wisły,  
Dumnie wzniesione wolnych głowy,  
Bo się kajdany w proch rozprysły.

A tam od mostu pieśni biegną<sup>60</sup>,  
Ach, nasze pieśni to bojowe! —  
I obok Zamku warszawskiego  
Przeciąga wojsko narodowe

Jeden za drugim hufiec zbrojny,  
Piechota, jazda, równym szykiem,  
W mury stolicy wraca z wojny,  
Z wojny zwycięskiej z bolszewikiem!

Serca w takt biją, wzrok się łzawi,  
I triumfalna stoi brama, —  
A z okna Zamku błogosławi  
Zwycięskim pułkom — Biała Dama!...

---

<sup>60</sup>biegą — dziś popr.: biegną.

# Złota kaczka

## I

Był sobie szewczyk warszawski. Nazywał się Lutek. Dobre było chłopczysko, wesołe, pracowite, ale biedne, jak ta mysz kościelna. Pracował ci on u majstra jednego, u majstra na Starym Mieście. Ale cóż? Majster, jak majster, grosz zbierał do grosza, z groszy ciulał<sup>61</sup> talary i czerwonce<sup>62</sup>, a u chłopaka bieda, aż piszczy.

Niby to mu tam pożywienie dawał. Boże, zmiłuj się: wodzianka<sup>63</sup>, kartofle — i tyle! I odział<sup>64</sup> go, mówi się, ale ta przyodziewa<sup>65</sup> spadała z Lutka, boć to stare łachy majstrowskie, co ledwo się kupy trzymały. Dość, że w takim sianie i pies by nie wytrzymał, a cóż dopiero człowiek! Gadają mu: Miej cierpliwość, mityguj się<sup>66</sup>, będzie lepiej, poczekaj ino<sup>67</sup>!

Co to lepiej! Kiedy? Rok za rokiem mija, lata lecą, a tu wciąż nędza i nędza.

Znudziło mu się. Uciec chce. Do wojska — powiada — pójdę, żołnierzem będę, może się ta nowy Napoljon<sup>68</sup> gdzie zjawi, to, jak nic marszałkiem zostanę, generałem wielkim, mocarzem.

No nic! cierpi jeszcze, czeka.

Aż ci tu kiedyś na wieczorynkę poszedł do czeladnika jednego, co się niedawno wyzwolił<sup>69</sup> i wiodło mu się niezgorzej, bo grenadierskie<sup>70</sup> buty szył, dla gwardii<sup>71</sup>, dla panów oficerów. Wieczorynka aż miło! Jedzą, piją, gawędzą. Ni z tego, ni z owego, o bajkach się zaczyna, o takich podaniach warszawskich.

I mówi jeden stary szewc, kuternoga<sup>72</sup>:

— Ho! ho! u nas w Warszawie i o pieniądze łatwo i o sławę, tylko trza mieć odwagę i rozum we łbie, jak się patrzy.

Zaciekawil się Lutek, pyta:

— Mówcie, co takiego?

— Ano nic — rzeknie kuternoga — na Ordynackiej, w podziemiach starego zamku, jest królewna taka, zaklęta w złotą kaczkę. Kto do niej trafi, kto ją przydybie<sup>73</sup> — wygra! Ona mu powie, jak skarby ogromne zdobyć, jak się stać możnym bogaczem, magnatem!

— I gdzie to, mówicie?

— Na Ordynackiej, w lochach starego zamczyska.

— A kiedy?

— W noc świętojańską<sup>74</sup>.

Zapamiętał to sobie nasz Lutek, a do nocy świętojańskiej trzy dni trzeba czekać, nie więcej.

<sup>61</sup>ciulać — po troszeczku, pieczołowicie zbierać.

<sup>62</sup>czerwonce — czerwone złote; rodzaj dawnych monet.

<sup>63</sup>wodzianka — wodnista zupa.

<sup>64</sup>odziać — ubrać.

<sup>65</sup>przyodziewa — ubranie.

<sup>66</sup>mitygować się — powstrzymywać się, panować nad sobą.

<sup>67</sup>ino — tylko.

<sup>68</sup>Napoljon — (gwarowo zniekształcone:) Napoleon; chodzi o Napoleona Bonaparte, cesarza Francji w latach 1804-1814, 1815; wybitnego wodza i prawodawcy; pod jego rozkazami walczyły m.in. polskie legiony Dąbrowskiego, przyczynił się do utworzenia po kilkunastu latach zaborów kadłubowego państwa polskiego, Księstwa Warszawskiego; Napoleon cenil wysoko odwagę i umiejętności żołnierskie, nagradzając je często wysokimi awansami.

<sup>69</sup>wyzwolił — uwolnił spod władzy majstra szewskiego, stając się samodzielnym pracownikiem.

<sup>70</sup>grenadierskie — przeznaczone dla grenadierów, czyli członków wojskowych oddziałów pieszych, których zadaniem było rzucanie granatów ręcznych.

<sup>71</sup>gwardia — wojskowe oddziały straży.

<sup>72</sup>kuternoga — kulawy, beznogi.

<sup>73</sup>przydybać — złapać, schwytać, spotkać (nieprzypadkowo, ale szukając wcześniej lub czekając na okazję do spotkania).

<sup>74</sup>noc świętojańska — dawn. noc Kupaly, wiosenne pradowne święto obchodzone nocą między 21 a 22 czerwca, potem powiązane z chrześcijańskim patronem świętym Janem (stąd nazwa: święto-jańska) i przesunięte na 23 czerwca.

## II

Wieczór spadł na gwarną<sup>75</sup> Warszawę, gwiazdzisty, ciepły, czerwcowy. Na ulicy ludzi jak mrowia. Panienki takie śliczne spacerują, a przy nich kawaleria, młodzi panowie, a głównie — wojskowi.

Tu ułan drugiego pułku, biały z granatem, tu strzelec konny gwardii w mundurze zielonym z żółtym, tu piechota liniowa, tu artylerzysta; hej! ostrogi dźwięczą, szable brzęczą, kity migają, aż lubo<sup>76</sup> patrzeć!

Idzie sobie nasz szewczyk Lutek Krakowskim Przedmieściem, Nowym Światem, wszedł w Ordynacką, przeżegnał się: już blisko!

Spuszcza się Tamką, bo tam właśnie jest wnijsie<sup>77</sup> do lochów ordynackiego zamczyńska, idzie, lezie, ale mu coś niesporo<sup>78</sup>.

Nie to, żeby się bał: niech Bóg bron! nie lęka się on niczego; tylko tak jakoś, nie lacno mu, ze złym duchem może, wejść w komitywę<sup>79</sup>.

Ano trudno! Raz się zdecydował: wejść trzeba!

Od Tamki, okienka nad ulicą dość nisko, szyb nie ma, ino kraty, ale taki chudzielec, jak wąż się przecisnie.

Jazda! Wdrapał się po wystających ceglach do okna, raz, dwa, trzy! W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — Włazł do wnętrza. Ciemno! zapalił świeczkę — idzie. Kurytarz<sup>80</sup> długi, wąski, kręty, prowadzi niżej i niżej. Aż ci po kwadransie może takiej drogi wylazł szewczyk do piwnicy wielkiej, sklepionej, z jeziorkiem jakiemś pośrodku.

Przy mdłym światelku świeczki lojowej, którą trzymał w ręku, obaczył Lutek owo jeziorko, — a na nim — Boże drogi! prawdę mówił szewc Kuternoga: złota kaczka pływa, piórkami szeleści.

— Taś, taś! kaczuchno!

I nagle — z kaczki czyni się przecudna dziewica: królewna. Włosy złote do ziemi, usta jak maliny, oczy jak gwiazdy, a buzia taka cudna, że — klękajcie narody!

— Czego chcesz ode mnie, chłopczyku?

— Jaśniewielmożna królewno — Lutek powiada, — nic ci ja nie chcę, ino zrobię to, co ty chcesz, abyś rozkazała.

— Dobrze — odpowie księżniczka — tedy ci powiem! Uzyskasz skarby, jakich nikt na świecie nie ma i mieć nie będzie, panem będziesz, bogaczem, jeśli spełnisz co do joty to, co ci powiem.

— Słucham, jaśniewielmożna!

— Oto masz kieskę, w niej sto dukatów; przez dzień jutrzejszy musisz je wydać, ale tylko na potrzeby własne, dla siebie samego; nic ci z tego złota dać nikomu nie wolno, ni grosza, ni grosza! Pamiętaj.

— Ha! ha! ha! — zaśmieje się Lutek — i cóż to trudnego? Będę jadł, będę pił, będę hulał! Wydam sto dukatów — a co potem?

— A potem, skarby niezmierne otworem stać ci będą, kopalnie złota prawdziwe, bogactwa niezmierzone; ale pamiętaj: ni grosza nikomu!

— Zgoda, królewno! daj kieskę!

Księżniczka kieskę Lutkowi wręczyła, zaśmiała się jakoś dziwnie — i znikła.

Strach przejął szewczyka. Ledwo się do okna dogramolił, wylazł na Tamkę i smyrnął na Stare Miasto.

## III

Nazajutrz dzień od rana samego puszcza się Lutek na miasto. Co tu robić najsampierw — myśli sobie — chyba się odziać, jak panicz.

<sup>75</sup>gwarną — pełną gwaru, czyli odgłosów rozmów.

<sup>76</sup>lubo — miło.

<sup>77</sup>wnijsie — wejście.

<sup>78</sup>niesporo — niełatwo, z trudnością.

<sup>79</sup>komitywa — znajomość, wspólne interesy.

<sup>80</sup>Kurytarz — korytarz.

No, dobrze! racja! Poszedł na Świątojerską, do sklepów z odzieżą, kupił sobie kapelusz, ubranie, paletot<sup>81</sup>. Szyk! Prawdziwy hrabia!

Idzie, pogwizduje, laseczką macha, bo i laseczkę se sprawił, nie wie co robić dalej.

Nie taka to łatwa sprawa wydać sto dukatów!

Sto dukatów! Dla siebie samego!

Ha! Trza pomyśleć!

A że to była już jakaś dziesiąta godzina, jeść mu się kaducznie zachciało. Jeść i jeść. Młody, zdrowy, to i nic dziwnego, że głodny.

Wstąpił do gospody. Każe sobie dać kielbasy, kiszki, piwa, bułek.

Je, je, aż mu się uszy trzęsą. Najadł się tak, że mu chyba na trzy dni wystarczy.

— Co się należy?

— Dwa złote.

— Dwa złote? Nie więcej?

— Dwa złote, paniczu, i przydałoby się z dziesięć groszy napiwku.

Wydadźże tu sto dukatów, bądź mądry! Ano trudno! Trza jakości ten pieniądz wydać. Pomyślimy!

Sypie ci Lutek na wycieczkę<sup>82</sup> za miasto. Pojechał końmi do Wilanowa. Bryczkę wynajął na pocztę, koni czwórka, pocztylion gra na trąbce. Uciecha.

Przyjechał. Dał dukata odźwiernemu przy parku. Chodzi po ogrodzie. Napatrzył się, południe już minęło. Pora powracać! I znów jest w Warszawie. Co zrobić? Gdzie wydać pieniądze, boć wydał niespełna pięć dukatów?

Spojrzał. Afisz na rogu: Teatr Narodowy. Nie ma co! Chodźmy do teatru.

W teatrze zabawił się setnie. Nie był w nim nigdy. Bo i skądże? Rzecz droga: miejsce dwa złote.

Wyśmiał się, ucieszył, wychodzi.

Późna już pora. Czasu do wydania pieniędzy niewiele, a Bóg świadkiem — nie wie Lutek, co z nimi zrobić? Idzie, rozmyśla. A gdy tak idzie, na rogu zaułka starzec stoi zgarbiony.

— Panie — powiada — drugi dzień mija, gdy nic w ustach nie miałem. Starym żołnierz, paniczu, pod Sommosierrą byłem, pod Smoleńskiem, pod Moskwą, przy księciu Józefie pod Lipskiem — poratuj mnie!

Pojrzy Lutek na starca: inwalida bez ręki, a na piersiach błyszczą mu wstążeczki orderowe: Legia honorowa i Virtuti militari.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął garść złota, dał starcowi.

— Bóg-że ci zapłaci, paniczu! Bóg ci zapłaci! Będziesz szczęśliwy i bogaty!

Błysnęło! zagrzmiało!

Mignęła przed oczami Lutka księżniczka zakłęta.

— Nie dotrzymałeś obietnicy, nie dla siebie wydałeś pieniądze!

I znikła.

Rozejrzy się szewczyk: dziad stoi, jak stał poprzednio — i rzecze:

— Nie dukat, paniczu, daje szczęście, ino praca i zdrowie. Ten pieniądz wart coś, co zarobiony, a darmo cha na złe idzie.

Powrócił Lutek do domu rad i wesół. Ocknął się rankiem bez grosza w kieszeni. Wydał na siebie z dziesięć dukatów, a resztę oddał starcowi, ale też od tego czasu wiodło mu się, jak nigdy. Wyzwolił się wrychle<sup>83</sup> na czeladnika, niebawem majstrem został, ożenił się z panią piękną i zającą, dzieci wychował — i żył długie lata w zdrowiu, w dostatku i w szczęściu.

A o złotej kaczce słuch zaginął. I dzięki Bogu! Bo zła to musiała być boginka, kiedy za warunek stawiała: sobie, nie komu!

Nie tak! Nie tak myśleć i czuć po polsku trzeba! My rządźmy się inaczej: naprzód biednemu, potem sobie!

A wtedy każdej pracy Pan Bóg dopomoże.

Polak, Żołnierz

Pieniądz, Praca, Szczęście,  
Zdrowie

Polak

<sup>81</sup>paletot — palto, płaszcz.

<sup>82</sup>Sypie (gwar.) — tu: idzie.

<sup>83</sup>wrychle — szybko.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/legendy-warszawskie>

Tekst opracowany na podstawie: Artur Oppman, *Legends warszawskie*, nakł. Księgarnia św. Wojciecha, Poznań, Warszawa, Wilno, Lublin, 1925

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Olga Sutkowska.

Okładka na podstawie: [mariaaantonina@Flickr](https://www.flickr.com/photos/mariaaantonina/), CC BY-SA 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły](#) na stronie Fundacji.